№ 12.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 25. Marca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na rok talarów 8, na pół roku talarów 4, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

MŁODY MĄŻ.

Komedyjka w 2ch aktach,
a raczéj
POWIEŚĆ w ROZMOWACH.

(Dokończenie.)

AKT DRUGI.

Scena I.

Zofia (wchodząc w kapeluszu i z parasolikiem). Jak też się zmęczyłam — ledwo żyję... to jednak kawałek spory, choć mówią, że niedaleko... (Śmiejąc się.) Stary Walenty ani mógł mnie dogonić, został tam gdzieś na drodze. (Oglądając się.) Niema Celiny ani Henryka na ulubionėm ich miejscu; myślałam, że ich tu zejdę, jak zwykle o téj godzinie. Ale i dobrze się stało. Siądę sobie w cieniu i odpocznę. Siostra by mnie łajała, żem szła tak prędko i żem się zmęczyła. Ona wie, jak mi to szkodzi (zdejmuje kapelusz i poprawia włosy). Jaka też będzie szczęśliwa z wiadomości, którą jéj przynoszę.... biedna Celina.... ja wiem, że to z jéj strony wielka ofiara.... ale dla kogo?

Scena II.

Zofia i Magdusia.

Magdusia (wybiegając spiesznie z domu i postrzegając Zofią). Ach! to panna Zofia? Boguż najwyższemu dzięki, że panienka przyszła. A wszakci to u nas dziś sądny dzień. Pani ledwie nam nieumarła.

Zofia (porywając się). Celina chora!... gdzież jest?...

Magdusia. Zastałam ją nieżywą tu oto na tém miejscu i zanieśliśmy ją na łóżko do jéj pokoju.

Zofia (załamując ręce). Boże! cóż się stać mogło tak nagle!? (wbiega pędem do domu).

Magdusia (idąc za nią i stojąc przy wchodzie). Ale niech panienka pomału do pokoju wchodzi, bo za każdém drzwi otwarciem nowe mdłości panią napadają. (Odwracając się ku widzom.) Jest tam przy niéj nasza pani, dwóch mężów miała i pięcioro dzieci, toż jéj tam przecie da radę... Co się tu dzieje, co się tu dzieje.... w głowę zajść trzeba! jakiś list zginął i jam go nieznalazła. Pan wyleciał jak szalony, ledwie mu zdążyli okulbaczyć konia; klął, wymyślał, uderzył nawet biednego Józefka.... widziałam to wszystko z okna. Przybiegam tu, a tu pani leży na ziemi jak długa; lecę, patrzę, nieżywa; cucę, wrzeszczę; zbiegają się wszyscy, niesiemy ją na górę, i przecie przyszła do życia. Ale trzebaćto pójść po tego doktora. Choćto Boże przepuść, nad doktorską sztukę mi się ta rzecz widzi.... nie recepta to zginęła, nie recepta. Dalibóg, to zgroza i rzecz niesłychana — ledwo miesiąc po weselisku i już jéj się chce innego..... (Chce wychodzić, spotyka Henryka, usuwa się na bok z miną przelękniona, i wychodzi chyłkiem.)

Scena III.

Henryk (blady, zadyszany, włosy w nieładzie, nie niewidzi koło siebie, ma w ręku dwa pistolety, kładzie je na stole). Niezastałem go, ale ma wrócić — zostawiłem pismo — spodziewam się, że go do żywego poruszy, jeżeli w tym człowieku jest jeszcze iskra honoru i prawego czucia. Nikomu zwierzyć się ani chcę, ani mogę; pojedynek nasz bez sekundantów obejść się musi; obadwa, a przynajmniéj jeden z nas padnie. Tu w tym samym

lasku, gdzie pobiegła do niego, skąd mi kwiatek przyniosła... Bezczelna!... O! gdybym mógł już jéj niewidzieć wcale! Kiedym stąd odchodził, wyrzuciwszy jéj ohydną zbrodnię, zdawało mi się, żem słyszał, jak krzyknęła i padła. Ściga mnie ten krzyk jéj. Tu w sercu mi się odbija. Ale zapewne i to było udanie. Niema jéj tu, w domu cicho, wróciła może do lasku, przyglądać się miejscom, gdzie uczuciem i naturą szczęśliwą była... O! gdyby już te męki zakończyć!... Napiszę — nie do niéj — do ojca — żal mi tego poczciwego starca, lecz w razie śmierci mojéj trzebać, żeby wiedział o wszystkiém. (Dobywa pugilaresu, opiera się o drzewo i pisze.)

Scena IV.

Henryk i Ludwik.

Ludwik (wbiega, trzymając pismo w ręku). A! niespodziewałem się być tu dziś jeszcze. Cóżto za dziwaczna mistyfikacya? czy zakład jaki? czy co? niepojmuję wcale...

Henryk (porywając się). Nie, mój panie!... w żart nieobrócisz mojéj zniewagi; tu żartów niema. Jeżeliś człowiek honoru, proszę zemną natychmiast do pobliskiego lasku; znasz go dobrze — tam pojedynek na śmierć. Oto pistolety! wybieraj, który chcesz.... oba jednakowo nabite...

Ludwik. A dalibóg, ten człowiek oszalał!... Henryku! co ci się dzieje? Jakieś nagłe uderzenie krwi do głowy. Tyś chory. Tu cyrulika trzeba — od rzeczy prawisz zupełnie. Co? zemną strzelać się na śmierć? A to za co? Szalejesz!... w gorączce jesteś!... (Chce go wziąć za rękę.)

Henryk (zżymujący się od gniewu). Z daleka odemnie i milczeć, bo cię znieważę — i bić się będziesz musiał rad nierad; chyba, że jesteś tchórz i podły....

Ludwik (odsuwając się z zimną krwią i ze szlachetnością). Mości panie, dosyć tego. Podobnych wyrazów, choćby na żart, jeszczem niesłyszał, i zapewne bezkarnie z niczyich ust nieusłyszę. Nietylko przyjmuję pańskie wyzwanie, lecz sam wyzywam. Na miejsce i broń się zgadzam. Ale ja chcę pojedynku, nie zabójstwa. Muszę mieć świadków.

(W ciągu téj rozmowy we drzwiach domu pokazuje się Zofia, a za nią blada i chwiejąca Celina. Zofia trzyma w ręku teczkę; zrazu wbiedz chciała, ale słysząc tak znaczące słowa, wstrzymuje się. Obie okazują wielkie wzruszenie. Celina płacze i kryje się na ostatnie wyrazy Ludwika. Zofia zbiega prędko i stawa między nim i Henrykiem.)

Zofia. Świadków? broni? otoż niebędzie innych, prócz mnie, Celiny i téj teczki.

Henryk (biorąc ją za rękę, jakby chciał ją wyprowadzić). Zofio, tu nietwoje miejsce, odejdź proszę.

Zofia. Ani się ruszę. (Nabierając coraz śmiałości.) Panowie jesteście wielkie dzieci, i potrzeba wam mistrzyni i nauczki.

Henryk. Zofio, doprawdy, odejdź, póki.....

Zofia. Nieodejdę, póki pana do rozumu nieprzyprowadzę. Wstydź się, wstydź się, panie bracie, lepszą miałam o tobie opinią. O panu (kłaniając się Ludwikowi) nic niemówię: naprzód znam go bardzo mało, a potém zdaje mi się, że nawet niewie, za co miał życie narazić.... Słowem, ja tu jedna rozsądna, choć mnie ludzie trzpiotem zowią.

Henryk. Dalibóg, Zofio! do ostateczności mnie przywiedziesz; daj nam pokój.

Zofia. Właśnie pokój przynoszę, i niczego się niedomagam, tylko chwili posłuchania. Wszak odjąć komu życie, lub utracić je samemu, jest rzeczą dosyć ważną; można przecież zastanowić się i posłuchać momencik. Wstydź się, panie Henryku, wstydź się, powtarzam. Ty mógłeś posądzić na chwilę Celinę, takiego anioła! A choćbym dziesięć listów znalazła jéj ręką pisanych i podpisanych, w którychby przysięgała, że innych kocha, na twojém miejscu będąc, nieuwierzyłabym nigdy. A ty, panie Henryku, ze świstka jakiegoś potępiasz ją, znieważasz, posądzasz. Pfe! raz jeszcze wstydź się! Zaręczam, że przez długi czas oczów na nią niebędziesz śmiał podnieść, i będziesz się wstydził sam siebie, gdy się dowiesz o téj tajemnicy i o tym rywalu. We dwóch słowach cię przekonam. Oto Celina jest autorką, a list ów nieszczęsny jestto kartka 63cia tego rękopisma. (Otwiera teczkę i zgnieciony papier wkłada.) Rękopism powinien być złożony z kartek oddzielnych, po jednéj stronie zapisanych. Patrz, wstydź się, i padnij do nóg téj, którąś tak srodze obraził.

Henryk. Czyżto być może? O jakież szczęście! Gdzie Celina? (Bieży ku drzwiom, postrzega ją schodzącą, pada jéj do nóg — ona go podnosi.) Przebacz! przebacz! (Tymczasem Zofia zamienia słów kilka z Ludwikiem, który więcéj jeszcze nią jest zajęty, niż całą tą przygodą.)

Celina (osłabionym głosem, oparta na Henryku). Przepraszam — z duszy przepraszam! Prawda, myślałam, że umrę, że mi serce pęknie. Zofia mnie pocieszyła, dowodząc, że i zazdrość dowodem jest miłości. — Wreszcie, Henryku, była w tém i moja wina... kryłam się przed tobą, to źle.

Henryk. Prawda, prawda — nieprzyszło mi to na myśl; i tyś winna, Celino moja. Sekret przed mężem — to zbrodnia! O! jakże mi lżéj na sercu! Tak, tyś winna i bardzo winna. I powiedz mi, proszę, poco się kryłaś?

Zofia (żywo). Ja to opowiem, bo onaby i teraz połowę prawdy ukryła. Oto Celina już od roku pisze i pisze ślicznie. Ale skromna, nieśmiała, a może i trochę w tém dziwna, bała się jak śmierci, żeby ktokolwiek bądź prócz mnie o jéj talencie się niedowiedział. Ile, że lubo ślicznie pisze, pisze najwięcéj dla tego, ażeby potajemnie ojcu być pomocą, ażeby za pieniądze zarobione kupić mu tysiąc drobnych rzeczy, do których nawykł, a na któreby inaczéj niebyło.... Może niedobrze robię, przed obcą osobą (wskazując nieśmiało na Ludwika) tajemnice domowe wydaję..... Ale już się stało, zaczęłam, dokończyć muszę.

Henryk. Mów, mów, kochana Zofio; każde twoje słowo otwiera mi oczy, zawstydza mnie wprawdzie, ale oraz uszczęśliwia.

Ludwik. Mów pani — mów — i bądź pewna, że nieużyję na złe tego, co z ust twoich usłyszę.

Zofia. Otoż Celina pisała, a ja zachęcałam ją do tego z całych sił moich i pomagałam, w czém mogłam. Wypracowane i dowcipne artykuły w Tygodniku pańskim od roku umieszczane i podawane bezimiennie — jéj były. Rumieniła się też za każdą wzmianką o Tygodniku i o jego wydawcy, do tego stopnia, że ja sama jéj raz powiedziałam: »Zobaczysz Celino, posądzi cię kto, że się w tym panu kochasz.« A ona od czasu téj wymówki rumieniła się jeszcze więcéj, i tém więcéj się bała, że każdy sekret jéj autorstwa odgadnie.

Henryk. I czegoż znowu było się tak bać, czyżto grzech dla kobiety pisać i drukować?

Zofia. Tak — łatwo teraz tak mówić; ileżto jednak razy pan dobrodziéj z inném zdaniem się oświadczał? »niecierpię tych mądrych kobiet... nigdybym się niezakochał w uczonéj pannie.....« — Panna Celina zaś chciała być od pana Henryka cierpiana i kochana, niemówiła więc nic. Przy oświadczeniu jeszcze ważniejsze i przykrzejsze rzeczy miała do wyznania, i tak zeszło; ale możeby niebyło zeszło, gdyby nie ja, któram ją zachęcała do milczenia. Pobraliście się. Moja pani Celina jakiś czas prawie nic niepisała. Ale ja wiedziałam, że ma śliczną powieść zaczętą: pieniędzy dla ojca nagła była potrzeba, wydawca Tygodnika obiecał dobrze zapłacić. Nagliłam więc Celinę od dni kilku i przecie skończyła wczoraj, siedząc do północy. Dziś miałam tu przyjść przedpołudniem, wziąć rękopism i odesłać do redakcyi Tygodnika; a ona dziś właśnie kwiaty rano oglądając, zgubiła kartkę, która najwięcéj ją pracy kosztowała — ów list niewinny, co......

Henryk (przerywając). Dosyć — dosyć, prawdziwie, że teraz sam niepojmuję, jak mógłem uwierzyć i tak się unieść... A ty, przyjacielu, przebaczaszże mi? wierzaj, nawet niewiem, com mówił; w tak gwałtownym byłem stanie.

Ludwik. Przyznam ci się, jakoś mi jeszcze bolesno..... ale spodziewam się, że z czasem zapomnę....

Celina. O! dziś zaraz, zapomnieć, przebaczyć proszę.... Ja przebaczyłam. (Bierze ich obie ręce — Ludwik i Henryk ściskają się.)

Zofia (całując Celinę). Widzisz, jak wszystko dobrze się ułożyło, a zejść tu niechciałaś.

Henryk. Jeszcze rzecz jedna — czemuż w tym utrapionym liście było: »Drogi Ludwiku.«

Celina. Jak cię kocham, anim wiedziała, że wydawcy Tygodnika Ludwik na imie. Taki przypadek szczególny.....

Zofia. Prawda, dziwnie też te rzeczy się złożyły. (Śmieje się.) A co jeszcze zabawniejsza, nawet heroina Celiny niejest występną.... Ów list pisze do brata siostra dręczona przez niesprawiedliwego opiekuna i podająca mu rękę w najświętszéj sprawie.... Widzę zaś z oczu pana Henryka, że uznawszy niewinność żony, tém tę biedaczkę chciał posądzać!

Henryk. I niemylisz się; już mi nawet przykra myśl przeleciała, wystawiając sobie Celinę, podobne listy komponującą.

Zofia. Widzisz, widzisz panie Henryku, jaka skłonność brzydka do posądzania. Ale wiecie co, moje państwo, odegraliśmy sobie krótką formalną komedyjkę; wszystko było: Tyran — Ofiara — Rywal — Pistolety — a ja mogę się poszczycić, żem rozsądną, stanowczą grała w niéj rolę. Zapiszę sobie ten dzień do dni pamiętnych.

Henryk (do Celiny). A jabym rad go wymazać z pożycia naszego.

Ludwik (który przez cały ten czas z największém uczuciem słuchał Zofii i wpatrywał się w nią, mówi do niéj:) O! jakżebym chciał zapisać dzień ten do dni szczęśliwych!

Zofia (biorąc Celinę za rękę). Jeśli znaleźć dwie przyjaciółki jest szczęściem — to niech pan zapisze...

Ludwik. Najlepsze przyjaciółki — to siostra i żona. (Ściska ich ręce.) Zgoda tak?

Celina. Jabym nic niemiała przeciwko temu.

Zofia. Ale ja mam — gdzież tak nagle? czyżto prawdziwa komedya, żeby się raptowném małżeństwem zakończyć miała?

Ludwik. Wolnożby mi przynajmniéj na przyszłość mieć nadzieję?

Zofia. Nadzieję? tego nikomu zabronić niemożna — nawet mego ojca prosić pozwolę o to pozwolenie. A tymczasem i wcześnie biorę was wszystkich za świadków, jako autorką niejestem i być niemyślę; i przysięgam, że jeśli kiedy męża mieć będę, wszystko mu powiem: nic niezakryję, czy złego, czy dobrego, bo widzę, że w małżeństwie najniewinniejszy sekret wielkiego nieszczęścia stać się może przyczyną. *K. z T. H.*

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

5. *Szlachecko - gospodarskie zatrudnienia za domem.*

a) Handel produktami i wyrobami wiejskiemi.

Rządny gospodarz ze wszystkiego umiał ciągnąć korzyści, bez ukrzywdzenia chłopa. Pod wielkiemi miastami kto żył, miał wielkie zyski z nabiału. Pod Gdańskiem jedna krowa czyniła za samo mleko trzydzieści złotych ówczesnéj monety rocznego dochodu [1]). Hodowanie i wypasanie tak trzód jak rogacizny i drobiu stanowiło jeden z głównych zarobków wiejskich. Owce chowano dla strzyży i na jatkę: pasał je owczarz z kobiałką na plecach, bez któréj nigdy niewyruszył w pole z trzodą [2]). Za owieczek parę dał szlachcic pół grzywny, a za jagniątko, gdy urosło, brał w jesieni tyleż. Wołu starego kupił za dwie kopy, a wypasłszy go, brał cztery. Za wieprzka płacił pół kopy, a za połeć brał kopę. Źrebca kupował za dziesięć złotych, a sprzedawał za trzydzieści. Gęsi wypasał lada czém, nie koniecznie owsem [3]). Zimowane wołki pędził do Szląska i do Prus, w Brzegu i w Gdańsku głównie znajdując na nie odbyt [4]).

Szlązacy i Prusacy szczególniéj zarabiali na płótnie, dobrze wyrabiając i pięknie bieląc ten towar. Bielono płótno na polu i tamże je przez noc zostawiano pod dozorem stróżów, którzy w budkach umyślnie na to zbudowanych siedzieli [5]).

[1]) Górn. Rozm. str. 89. [2]) Rej, Wiz. 114. [3]) Rej, Żyw. 56., 109., 110. [4]) Witkowski, Pobudka. [5]) Zawackiego: Pamięć robót w Maju.

b) Handel zbożem i solą, żegluga polska.

Wycinano sosny na smołę, dęby na szkuty [1]). Były większe i mniejsze: tamte się nazywały szkuty z kulesami, te dubasami. Mniejsze od tych statki zwano komięgami, a od tych jeszcze mniejsze półszkutkami. Prowadzono niemi handel zbożem i solą, pierwsze spławiając, drugą rozwożąc pomiędzy sąsiady [2]). Ułatwiały ten handel wielkie i małe rzeki, które w różnych kierunkach przepływały Polskę, jakoto: Wisła, Dunajec, San, Dniepr, Dniestr, Warta, Noteć, Bug, Prypeć, Odra; tudzież wpadające do Wisły lub do Baltyckiego morza: Sala, Premza, Paprud, Skowa, Wisłoka, Ropa, Nida, Wieprz, Drzewica, Pilica, Walbora, Narew, Bzura, Buda, Ossa, Motława, Dźwina, Wilia i insze jeszcze pomniejsze [3]).

Po tych spławach wielce była rozgałęziona żegluga, i już wówczas wydoskonalona wielce. Dowód na to stawia technika żeglarska, dokładnie oznaczając statki i ich porządki, brzegi rzeczne i wszystko to, co było w wodzie i naokoło wody.

Jak tylko ziemianin miał zapas żyta, zaraz sobie sprawił i dubas, albo półszkutek, zbiwszy wprzód nieco grosiwa na komiężce małéj, przewożąc na niéj skromne towary. Gdy zebrał pięć tysięcy, płynął półszkutkiem, a nawet odważał się i na szkutę [4]). Chciwy na pieniądze puszczał się na wodę nawet ze Świętą Barbarką, kiedy właśnie powstawały srogości morskie [5]), ażeby coprędzéj stanął w Gdańsku i drogo sprzedał swe zboże. Jeżeli mu się poszczęściło, odważał się późniéj i morzem po kupie (w celu handlowym) żeglować jako kupiec [6]). Niezrażały go przykrości, jakich wśród swojéj doznawał wędrówki; a mianowicie téż od celników, siadujących z celbratem na mycie [7]). Byłato zła halastra, która nic nierobiąc sama, wielkie robiła majątki. Mytnik zamiast dozierać myta, spuszczał się na swoich pisarzy; albo wynajmował myto burmistrzowi lub wójtowi, a wójt żydowi, żyd zaś swoim poruczał to pisarzom, z których każdy coś zyskując z handlującego, zbierał myta do swojéj kieszeni. Bo podskarbi koronny ledwo ich trzecią część pobierał, reszta niewiedzieć gdzie się podziewała [8]). Niewszyscy jednakże opłacali się celnikom, bo słudzy senatorscy płynąc Wisłą, niedawali wodnego myta [9]). Przykro to było handlującym ziemianom, a przykrzéj jeszcze, że gdy im umniejszano przez myta zarobkowanie, tymczasem cudzoziemscy kupcy, wprowadzając do kraju towary obce, i takowe podług taksy od siebie nałożonéj sprzedając, zyskiwali nader wiele. Zamyślano ze strony rządu postanowić taksę na towary zagrani-

czne, podług któréj cudzoziemcy sprzedawać je mieli w Polsce, lecz to jeszcze za czasów Jeżowskiego [10]) niebyło przyszło do skutku.

Kiedy wreszcie handlujący ziemianin przebył wszystkie te trudności, stawał w Gdańsku, to jest u kresu życzeń swoich, i tam za gotówkę towar swój sprzedawał, niedając nic na szuldbryfy, czyli, jak dziś mówimy, na weksle [11]). Grzeczny kupiec licząc mu na giełdzie za towar pieniądze, poczęstował go naprzód jandulą (czarką) gdańskiego likworu, którą wypić a niewytchnąć, trudno było [12]).

[1]) Kochanowski dz. I. str. 30. [2]) Rozmowa 2. z r. 1553. [3]) Oczko Cieplice str. 6. 7. [4]) Klonowicza Flis 22. 23. [5]) Rej, Żyw. 65. [6]) Zbylitowskiego Droga do Szwecyi. [7]) Rej, Wiz. 167. [8]) Rej, Żyw. 39., tamże przemowa 187. [9]) Klonowicza przemowa do Flisa. [10]) Jak sam w ustępie *Zima* mówi o tém. [11]) Klonowicza Flis 45. [12]) Złote jarzmo małżeńskie.

Kilka listów z nad brzegów Renu.

Pisane do *T. M.* przez *S. W.*

List szósty.

Ze statku parowego.

Cóż ty, mój kochany, na to mówisz? Już ztąd widzę twoje zdziwienie. Ze statku? cóż znow? z jakiego? — Tak jest, ze statku parowego, bardzo ładnego, ze statku który lata po Renie; i cóż w tém nawet tak dziwnego? Kto w Baden czas swój wysiedział, i jeśli nie całkiem to przynajmniéj trochę wyzdrowiał — pocóż miał siedzieć dłużéj? Kto na rogach wszystkich ulic widział codzień ogromne afisze że tylko o milkę od miasta wsiada się do statku, i za bezcen i wmgnieniu oka zwiedza się brzegi Renu, sławne brzegi Renu! — jak tu się téj pokusie oprzeć? Otóż wiesz już wszystko. Jestem na statku; zapłaciłem miejsce aż do Kolonii; będę w Mannhejmie, będę w Moguncyi, będę w Koblenc, będę w Frankforcie, będę wszędzie, będę na Renie, daleko na Renie, tam gdzie były kiedyś średnie wieki, i ich barony, i ich baronówny, i ich minstrele, i ich turnieje; w kraju zamków, ruin, ballad; w kraju katedry kolońskiéj, w kraju poezyi, malarstwa, wiary; w raju nie w kraju! już tam jadę, płynę, już tam jestem jedną nogą, połową serca, całą głową! — dobry prawdziwie ze mnie człowiek, że tak jeszcze do ciebie poufale, tak po przyjacielsku chcę mówić, jakby równy do równego; do ciebie, co gdzieś tam na piaskach jakiegoś tam Mazowsza żyjesz sobie życiem grzyba, życiem parafijanina, życiem nieżywém, i o cudownych, sławnych, przepysznych tych krajach tyle ledwo wiesz ile coś czasem na jakiejś gazeciarskiéj bibule waszéj wyczytasz — O! mójże ty kochany biedaczku!

Widzisz tedy, że jestem sobie wesół; jestem wesół już przeszło od półgodziny czekając w Iffetzheim na statek strasburski, bo w tenczas dopiero nasz, zabrawszy tamtych passażerow, ruszy w swoją drogę. Ten Iffetzheim, do którego się z Baden przyjeżdza, nie jestto żadne miasto, ani żadne miasteczko, ani nawet najmniejsza wieś; jestto nic więcéj tylko domek nad rzeką, tylko jakiś pan pisarz, pan urzędnik, który zapisuje wojażerów i pieniądze od nich odbiera. Byłem już u szanownego dygnitarza, wyexpedyjował mię, i chodzę sobie po statku jak admirał, jak Kolumb, jak Robinson; widzę nad sobą niebo, pod sobą fale — widzę prawda i różne inne rzeczy, n. p. dzieci kąpiące się po brzegach z téj i z téj strony, ale nie moja wina że brzegi tak blisko jeden drugiego, że zamiast na oceanie jestem tylko na rzece, i że ta rzeka, chociaż niezmiernie sławna, niewarta jednak, w tém przynajmniéj miejscu i połowy naszéj Wisły. Ale cóż! Wisła w Polsce, Ren we Francyi, przy Francyi! Bodajto we Francyi być czémkolwiek! Wisłę nazwanoby tu Monarchinią wód, Napoleonem rzek, lub coś podobnego — i wyczytawszy to w paryzkich żurnalach, w paryzkich książkach, żadenby wtedy Polak dobrze wychowany nie śmiał już nazwać jéj inaczéj. Nim ruszymy, muszę ci teraźniejszy mój dom opisać, bo ty, błogosławiony człowieku, co pewnie rodziłeś się w czepku i możesz o sobie powiedzieć jak niegdyś ów przedni Rej,

> Z granicy polskiéj, milę nigdziem nie wyjechał,
> Lecz co wiedziéć przystoi, przeciem nie zaniechał,

nieznasz podobno większego okrętu jak ten którym się z Warszawy żegluje na podwieczorek na Saską kępę. Przeszedłem dopiero w zdłuż pokładu, ma do siedmiudziesięciu kroków; w pośrodku sterczy blaszany komin od pieca, i dzieli statek na dwie połowy: — na kraj surdutów, fraków i kraj bluz, to jest płóciennych kurtek; na arystokracię, i demokracię; słowem na dwa miejsca, o cenie większéj i mniejszéj, jak n. p. loże i parter. Na około idą ławeczki. Przy kominie kupa waliz, tłómoczków, paczek, różnych rzeczy panów passażerów. Na rogach zaś, po stronie arystokracyi siedzi na małém podniesieniu sternik u steru, a na przeciwnym stoi kilka pojazdów. W linii środkowéj są trzy dziury jak do piwnicy, kilkanaście kroków jedna od drugiéj, któremi schodzi się po schodkach w wnętrze statku; dwie z nich prowadzi do dwóch

pokojów dla gości, tu lożowych, tam parterowych; przez trzecią wyłażą i włażą osmolone brudasy, piecowi usługacze. Otoż masz pokład. Jestto tylko jakby dach, jakby strych domu; sam dom jest dopiero pod spodem. Ale zapuszczać się w te opisy niemyślę, wprowadzę cię tylko do pokoju gdzie teraz to piszę. W waszych lądowych bywają prawda sufity wyższe, ale i w tém można stanąć nieuderzywszy się głową, byle tylko małego być wzrostu. Wreszcie nie chwaląc z wysokości, skądinnąd pokoik śliczny. W koło kanapki, przed niemi stoliki, wszystkie jednéj miary; te albo można oddzielać, albo się składają i stanowią jeden duży stół w podkowę, przy którym statkowa publiczność zasiada do obiadu. Jasny bo okienek gęsto; widok znich spodziewam się że ciekawy i taki jakiego żaden na świecie pałac niema i mieć nie może, co chwila bowiem zmienia się. Mimo tego wszystkiego mało kto w pokoju siedzi, wszyscy wolą pokład; chyba że trzeba komu co napisać, albo chce co zjeść lub wypić, albo odpocząć wygodniéj na kanapie, albo czytać dzienniki, które leżą na stołach; albo wreszcie, racya wielka! Kiedy mu się tak podoba. Na noc zatrzymuje się statek zwykle w jakiemś mieście; jeśli zaś nie, i chcesz spać: — to możesz albo patrzeć sobie na gwiazdy, albo bawić się rozmową, albo nawet gdziekolwiek i jakkolwiek zadrzymać; słowem, jesteś w tenczas zostawiony własnemu przemysłowi. — Ale niemam już czasu; odpływamy, spieszę na górę. Dokończę ci z Mannheimu.

Otoż kończę z Mannheimu. —

Byłem tedy cały dzień żeglarzem, a raczéj dymnikiem, parnikiem, nazwij jak chcesz. Bardzo to wszystko ładnie i pięknie, i słowa przeciw temu; ale jedno w drugie, jeszczem ja sobie coś więcéj wystawiał. Powiesz, twoja wina! Któż ci kazał więcéj sobie wystawiać? Kto kazał! — a też tysiączne i na różne tony i ustawiczne wychwalania gadułów różnego narodu; te tysiączne opisy, ryciny, sztychy, litografie; ta taka sława Renu! Imaginacya, — bo z przeproszeniem nowych panów pisarzy, to ten nasz wyraz wyobraźnia, jak w ogólności wszystkie nowéj fabryki, albo mówiąc konceptem staropolskim i gospodarskim, nowego pieczywa, nic doprawdy niewart, i zły jestem, że się już tak przyjął, — imaginacya mówię, jak ruszy naprzód, ciężko ją potém doganiać. Jużto z samego początku, od Iffetzheim, to wcale nic a nic ciekawego. Rzeka wązka, brzegi płaskie, po większéj części puste; u nas w Polsce jest tysiąc stawów, gdzie bez porównania miléj i piękniéj. Przypomniało mi się, jak na jednym z nich, na stawie Jampolskim, mały niegdyś studencik krzemieniecki, puszczałem się bywało sam jeden długiém czołnem, i tak po całych godzinach wakacyowałem, używając wody i powietrza, ziemi i nieba, jak ryba, jak ptak! Położywszy się na wznak i jak struna wyciągnięty, wiatr sobie brałem za wiosło, za sternika; niechby był zawiózł, gdzie zechciał!... Kołysała mną woda, a mnie się zdało, że to moja niańka znowu mię do kołyski włożyła; — więc zamrużałem oczy, bo prosiła, żebym zasnął, — taką słodką piosenką prosiła! — więc słuchałem i słyszałem co woda na dnie gadała, co w koło oczeret szumiał... aż zerwało się stado cyranek tuz przy mnie, i spłoszyło mi stado obrazków, marzeń, cacek i uciech, których w młodéj głowie pełno było jak ptasząt w gnieździe... Hej, hej! mój kochany, niema już na świecie tak jasnéj wody, tak zielonych brzegów, tak szczęśliwych pływaczy!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Przypadki żołądka.

Powiedzże mi co ty jesz,
Ja ci powiem co ty wiesz.
Stare przysłowie.

Nieznośną dla mnie jest rzeczą, kiedy słyszę mówiących: »tego jeść niemogę, tém się brzydzę.« Prawdziwie ukształcony człowiek powinien umieć wszystko jeść, co mu zdrowo i czysto ugotują. Wielu dla tego gardzi niektóremi potrawami, że je gmin jada. Aleć na Boga! gmin ma doskonały smak i od niego możemy się wiele nauczyć. Trzeba tylko zastanowić się nad własnym żołądkiem, i pójść za głosem téj doskonałéj, w nas żyjącéj istoty, która cały nasz ustrój żywotny utrzymuje.

Któż niesłyszał codzień wołających dzieci: »chce nam się jeść,« a kiedy im chleb podasz: »ale nie chleba.« Któż sobie nieprzypomni lat dziecinnych, w których podobnie jeść się dopominał? Biedne dzieci! Jakże odpowiadają im na ten wyraz młodziutkiego żołądka, w całéj swojéj czystości dopominającego się praw swoich? Niedają im zrazu, czego żądają, i dopiero kiedy się złoszczą, tupają, wrzeszczą, wtenczas otrzymują więcéj, aniżeli znieść mogą, a spożywając w gniewie pokarm, na zdrowiu zapadają. Ale my sami czyliż lepiéj robimy? Poczęści krótko przed obiadem coś przejadamy, a psując sobie apetyt, mówimy, że żołądek na nas wołał.

Dla tego w tém są dzieci od nas mędrszemi. Niejestżeto ładna powiastka o chłopczyku, rzewnie płaczącym, że mu się jeść niechce? Szkoda, imie jego niezostało zapisane w rocznikach gastronomii.

Do powyższych uwag, które może niejednemu z naszych czytelników za suche się wydadzą, dodam powiastkę, za której prawdziwość ręczę:

»Kiedy jeszcze tron Napoleona całą świetnością był otoczony, a krótko przed nieszczęśliwym balem u księcia S...., Talleyrand powszechnie uchodził za człowieka najzręczniéj podejmującego gości; ale mało komu jest wiadomém, że i kardynał Fesch w tém mu nieustępował. Zbytek panujący u niego w téj gałęzi gospodarstwa, czynił go godnym wuja cesarza. Marszałkiem dworu kardynała był Włoch imieniem Calci, człowiek gustu i fantazyi, umiejący służbę z wdziękiem w nieskończoność połączać. Fesch zakładał na tém swoje żarciki, aby wystawić dowcip swego marszałka na doświadczenie, jeżeli miał u siebie małe, ściśle gastronomiczne zgromadzenie. Nigdy przecie Calci nieodpowiedział oczekiwaniom Jego Eminencyi z taką przytomnością, jak w przypadku, który zaraz opowiem.

»Kardynał dawał biesiadę: łosoś olbrzym, dziwo całéj kuchni, miał na niéj figurować. Główne to danie przeznaczono na ozdobę wszystkiego.

»Nadspodziewanie przysłano Jego Eminencyi drugiego łososia, i to starszego zapewne braciszka pierwszego, bo jeszcze był ogromniejszy. Kardynał woła Calcego i rozkazuje mu obie te ryby dać na biesiadę. Marszałek w trwogę, zaręcza, że to być niemoże, iż to się wszelkim sprzeciwia prawidłom stołowym. Ale u Napoleończyków nieznano wyrazu »być niemoże.« Niebyło więc innego sposobu, jak wykręt.

»Biedny Calci całą noc nieśpi, układa wszelkie kombinacye stołowe. W tém naraz wpada mu myśl nowa i podnosi serce jego zwątpiałe. Bieży do kardynała i w głos natchnienia tak mówi: Monseigneur, będziesz zadowolony; obadwa łososie ukażą się na biesiadzie. A jak? zapytał się książę kościoła. To jest tajemnicą, odrzekł Calci, przy stole dopiero rozwiąże się tajemnica.

»Wielki dzień nadszedł; przychylna drużyna, wtajemniczona w wiadomości zakulisowe kuchenne, zręcznie podmuchuje w uszy, iż na drugie danie ukaże się ryba nadzwyczajnéj wielkości. I w rzeczy saméj, podwoje się rozwierają, służący niesie łososia, jedno tylko podziwienie panuje pomiędzy widzami. Już doszło najwyższego szczebla, kiedy służący, nauczony co ma robić, potacza się i upuszcza łososia na podłogę. Wszyscy zbledli, popatrują to na kardynała, to na marszałka, to na rozbitego łososia.

»Ale Calci, ów wielki Calci, woła z prawdziwie napoleońską zimnotą: »Podajcie inną rybę!«

»Niebawem wchodzi drugi służący, niesie starszego braciszka łososia, — ale tu goście niemogą pokryć swego zadziwienia. Pełno szeptów, pełno słów, pełno radości i dziwu. Lukullus znowu odżył! Co za Lukullus, co za apropos! Tymczasem Jego Eminencya przybrała minkę całe powszednią, zimną, Calci zaś stanął na boku i cieszył się swoim tryumfem. Dowód, że skromność jest oznaką talentu. Przez ośm dni w całym Paryżu wyłącznie rozmawiano o dwóch łososiach kardynała Fescha, i trzeba było zwycięstwa pod Austerlic, aby zwrócić uwagę na siostrzeńca, którą dotąd wuj jego posiadł.«

Saphir powiada w Humoryście: »Niemiecki gentleman chodzi pieszo, jakby konno jechał; wierzchem jeździ, jakby pływał; pływa, jakby siedział w zgromadzeniu; a siedzi w zgromadzeniu, jakby leżał w pościeli. Mówi po angielsku z francuzka, po francuzku z włoska, po włosku z niemiecka i po niemiecku z hiszpańska. Od stóp do kolan psem przeszedł, od kolan do piersi koniem, od piersi do nosa fajką, od nosa do uszu amorami, od uszu aż po za mózg niczém. W ręku ma biczyk, u oka lornetkę, w ustach mieliznę, w głowie pieniądze, w kieszeni swą głowę. Mówi uczenie o cygarze, z wiedzą o kiju, z natchnienia o krawcu, z pogardą o wszystkiém, rozumnie o niczém.

Darowizna zyskowna i dla dającego. — Pewien dłużnik prosił przyjaciela swego o pożyczenie mu 22 lujdorów na zakupienie koni, mówiąc, bardzo byś mi niemi wygodził, zarobiłbym przytém 4 lujdory. — Ten zaś wiedząc że dłużnik nigdy pożyczonych pieniędzy nie wraca, dał mu cztery lujdory, w te się odzywając słowa: przyjm oto ten twój zarobek, a ja przy téj sposobności zyskam 18 lujdorów.

Doktorowi Justynowi Kerner, osławionemu wizyonerowi duchów, ukazała się dusza starego krzesła i oświadczyła mu, że każdy grat, choćby najstarszy, ma swego ducha, który w pewnych okolicznościach może się ukazywać. Trzeszczenie i pękanie ich ma dowodzić przechodzenia duszy z świata duchowego do rzeczywistego i drewnianego. Eschmeyer wie o tém ukazywaniu się i pracują obadwa

nad teoryą duchów starych gratów. (Uwaga. Żarcik ten, umieszczony w jednym dzienniku niemieckim, ma na celu wyśmianie zabiegów niektórych nowszych uczonych niemieckich, którzy w złéj wierze osobne dziełka wydają i prawią o ukazywaniu się duchów, opętanych, aby dawne przesądy i zabobony odświeżyć, oświatę przyćmić i wszelki postęp wstrzymać. Są to pomocnicy ukrytych sprężyn, którzy za korzyści materyalne wodę mącą, aby snadniéj ryby łowić.)

Mody. — Londyn, dnia 14. Marca 1840. I tu u nas, jak w Paryżu, więcéj na wygodę, niż na świetność zwracają uwagę, dla tego więcéj zobaczysz salop, aniżeli w ubiegłych zimach. Tkaniny tych salop tak są różne, iż trudno nam powiedzieć, jaka z nich na pierwszeństwo zasługuje; to dodać jednak musimy, iż tło ciemne nakształt dreliszku najczęściéj napotykać się daje, jestto naśladowanie kaszemiru w pojedyńcze pstre wzory. Salopy te niemają szczególniejszych ozdób, tylko zwyczajny kołnierz aksamitny koloru tła tkaniny; w rzeczy saméj są bardzo wygodne i zupełnie odpowiadają celowi, lubo nie tak stroją jak salopy z ciężkiego jedwabiu.

Czarne kapelusze biorą Damy na wyjście; są powiększéj części z aksamitu wyrabiane, tkaniny teraz najmodniejszéj i bardzo pojedyńczéj.

Mało widać futer, wyjąwszy boa; mało i zarękawków, chociaż zwykle o te czasy najwięcéj je noszono, ale i te tak są małe, iżby Damy posądzić można było, że je od dzieci swoich pożyczyły.

Fręzle kosmate zastępują teraz miejsce futer u szalów, równie zdobią one i salopy.

Jakkolwiek mało widać futer u Dam przechodzących, to jednak zwykle w nich jeżdżą; najulubieńsze futro jest chinchilla (z Peru); z niego szczególniéj wyrabiają zarękawki, boa i osady salop lub szali.

Między salopami odznaczają się arabskie. Są one z pstrego aksamitu i zdobne atłasem. Równie są używane wielkie szale aksamitne z rękawami.

Koronki nie tyle są w tym miesiącu ulubione, ile w przeszłym, przecież jednak niemi stroją suknie.

Najnowsze suknie na wieczory używają z aksamitu lub atłasu, o trzech oszeweczkach muślinowych lub koronkowych; stanik z tyłu jest dosyć wysoki, z przodu głęboko wycięty i osadzony w trzy rzędy koronek w skład szala, tak iż ostatni rząd na rękawy opada, co nazywają façonem Wiktoryi.

U wielu sukien znajduje się u stanika pełno fałd, ale nieregularnie zebranych, które utrzymują klejnociki, kokardki z wstążek, złoty sznur lub bukiecik. Fałdowanie to bardzo dobrze wygląda, bo unika sztywności, jaka z regularności fałd wypływa.

Kolorem modnym jest pensée wraz z ciemnoczerwonym; na wieczory niebieskie Wiktoryi.

Objaśnienie ryciny.

1. Strój na głowę z wstążek w kształt różyczki, z długiemi końcami. Suknia tulowa fręzlami oszyta; stanik gładki; obszerne na pół długie rękawki.

2. Wysoki stroik na głowę z czepeczkiem z wstążek i koronek. Suknia jedwabna przerabiana kwiatami; z lewego boku bukieciki z wstążkami aż do dołu upięte; przepaska związana na prawym boku, któréj końce na dół opadają. Stanik w kształt chusteczki. Krótkie rękawki z trzema falbanami.

3. Wianek na głowie z liścia dębowego. Suknia tulowa ozdobiona girlandką z liścia dębowego w kształt fartuszka. Krótkie rękawki o dwóch bufkach równie liściem oszyte.

4. Ubiór męzki balowy. Frak z kołnierzem szalowym, obcisłemi rękawami, długiemi połami i świecącemi guzikami. Kamizelka w kwiaty, kołnierz szalowy. Krawat biały. Żaboty koronkowe, mankietki karbowane.

Oświadczenie.

Z kończącym się kwartałem przypominamy szan. Prenumeratorom, którzy ćwierćroczną przedpłatę na Dziennik domowy złożyli, ażeby i na następny takową, albo drogą dotychczasową, albo na ręce Redakcyi we frankowanych listach raczyli nadesłać. — Przytém nadmienia się, iż zażalenia o nieregularność w odbieraniu pocztą Dziennika domowego, podane zostały do Głównego Urzędu pocztowego w miejscu, któréj uchylenia z pewnością się oczekuje.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

12.